

# Kronika

## tygodniowa

Kalendarz, i to nie tylko stuletni, ale nawet zupełnie zwyczajny, stwierdza, że rok 1920 ma się już ku końcowi, zaczyna się bowiem grudzień, i czas adwentu, przeznaczony na przygotowanie do świąt Bożego Narodzenia.

Ponieważ ludzie są z natury ciekawi, jaki będzie rok następny, w tym właśnie okresie starają się o tem przekonać, przedewszystkiem w wigilię świętego Andrzeja, do czego służy tendencyjne „lanie” wosku lub oliwin, co powtarza się jeszcze dla większej pewności, w dzień wigilijny, to jest 24. grudnia. Ponadto św. Barbara wróży, jakie będzie Boże Narodzenie, a dwaście dni, począwszy od św. Łucy, mają stanowić niezawodną wskazówkę, jakiej pogody możemy się spodziewać w roku następnym. Każdy dzień odpowiada jednemu miesiącowi. Zwłaszcza gospodarze, którzy w zimowym czasie nie mają nic do roboty, gdyż zboże już wycięli i puścili „na pasak”, notują skrupulatnie zapiski meteorologiczne z tych dni, aby się potem przekonać, że jest zupełnie inaczej, nie tak, jak się spodziewali.

Kronikarz, jako człowiek starej daty, próbuje też stale tych horoskopów, w szczególności zaś bierze żywy udział wraz z całą swą rodziną w Andrzejskim „laniu”, gdyż miał już niejednokrotnie sposobność przekonać się sam na sobie, że te przepowiednie się spełniają. Wprawdzie nie zawsze, ale bardzo często. W ubiegłym roku ułata mu się faga i w samej rzeczy przez rok cały z nią się ciągle spotykał.

Zatem i w bieżącym roku odbyło się też rodzinne „lanie” i to nie przy użyciu oliwin, który nam tylko wojnę wywołał (reszta brak go, gdyż został zarekwirowany przez Austriaków na potrzeby armii...), ale pokojowego zupełnie wosku, wyrabianego przez nasze pszczołowe pszczołki, a fałszowanego przez niesumien-nych przemysłowców dodawaniem wosku ziemnego. Jest on w całym tego słowa znaczeniu artykułem pokojowym, służy bowiem głównie do froterowania podłóg w pokojach.

Każdemu z członków rodziny ułata się coś, co sobie potrafił wyłamać według swych życzeń i pragnień, a trzeba przyznać, że szczególnie piękna ma w tym kierunku nadzwyczajną bujną wyobraźnię.

Oliwę, sporządzoną własną ręką kronikarza (przyrzeciem się nawet poparzył, co powinno stanowić wskazówkę, że nie powinno się nigdy zbyt gorąco zabierać do dzieła...), badany przez całą rodzinę pod światło i od światła przedstawiał coś, co równie dobrze może być uważane za trójkątny kapeluszek stosowany, w jakim chodzili ś. p. austriacy ministrowie (tak twierdzi Weronika, a ona się zna na tem, i wywodzi z tego powodu, iż w roku następnym czekają jej małżonka wielkie zaszczoty...), jak i za figę, bardzo podobną do zeszłorocznej. To jedno jest ciekawe, iż znalazło się w nim akurat sześć dziur, to jest tyle, ile zer ma milion w swym ponętnym ogonie. Być może, jest to zatem wskazówka, że w następnym roku czeka kronikarza wygrana na „premiówkę”, co byłoby ze wszelkim miar pożądanem, już nie ze względu na możliwość kupienia kamienicy, ale bodaj oporządzenia się jakiegoś takiego, co, wobec normalnych dochodów, stanowi przedmiot marzeń, nie mających się nigdy doczekać realizacji. Weronika z maszynki do rozmawiania z duchami już zrezygnowała zupełnie, natomiast wlaź jej w głowę Guzik, o którym w ubiegłym tygodniu tak się szeroko *Kuryerek* rozpisywał.

Milion pod kronikarskim dachem byłby bardzo mile powitany, natomiast ta zapowiedź czekających go w najbliższej przyszłości zaszczotów, bynajmniej go nie wzrusza.

Następne „lanie”, celem tem pewniejszego przekonania się o przyszłych losach, odbędzie się nieodwołalnie w wieczór wigilijny, podczas którego, jak się zdaje, będziemy się musieli obejść bez tradycyjnych rybek, ba, nawet i bez śledzia. Dawniej, gdy nie mieliśmy własnego morza, mieliśmy co rok ryby, teraz mamy morze, ale ryby z niego je kto inny, podobnie jak i cukier nasz i t. d. Wigilia zatem i w ogóle Święta nie zapowiadają się zbyt świetnie, wobec czego i „lanie” gotowo się nie udać.

Ale nie uprzedzamy wypadków, zastanówmy się raczej nad tem, jaki zaszczot mógłby się stać udziałem kronikarza. Rozumie się samo przez się, że ten zaszczot musi być połączony i z odpowiednią pensją, aby mógł być naprawdę zaszczotem.

W pierwszej chwili przyszły na myśl trzy stanowiska, mające być w najbliższym czasie obsadzone.

Pierwsze z nich, to posada ministra skarbu, drugie czwarty hotel wiceprezydenta miasta Krakowa, wreszcie kierownictwo mającej być powołaną do życia w Warszawie Rady nabiłowej.

Co do pierwszego z nich, to ono nie może być poważnie brane w rachubę, gdyż kronikarz nie należy do żadnego ze stronnictw, będących dziś przy głosie, zatem ów osławiony „klub partyjny” nie otworzy mu bramy do lepszej przyszłości. Zresztą stanowisko ministra skarbu jest niezbyt świetne już choćby tylko z tego względu, że musi się on starać o szukanie dochodów i wygłanianie ich, gdzie się da, a nawet nieda, a liznie się pod tym względem bardzo czuli i dlatego żaden minister skarbu nie cieszył się jeszcze uznaniem. Jedynie może w Monako, gdzie obywatele podatków nie płacą, jeżeli jest taki dostojnik, może wieść żywot spokojny i znośny, gdyż tylko daje, a nie bierze, w innych zaś państwach koleży jego postępują zupełnie przeciwnie. Mielibyśmy sposobność przekonać się o tem na pana Grabskiego, który, być może miał i najlepsze chęci, w rezultacie przecież dał się nawet i najlojalniejszemu podatnikowi we znaki, pożegnali go też z westchnieniem ulgi, ale zarazem i z niezłym nadzieją, że następca z pewnością nie będzie lepszy.

Zresztą kronikarz, musi się tu przyznać, do pertraktacji finansowych nie ma uzdolnienia (podobno i minister może się obejść bez tego...), nie ma także i szczęścia, jak się o tem przekonał przy sposobności załatwiania spraw domowo-bułetowych.

Każde gospodarstwo domowe jest bowiem pewnego rodzaju gabinetem ministeryalnym, w którym poszczególne teki rozdzielone są między męża i żonę, czasem dzieci i siołaczka.

Sprawy zagraniczne, to jest stosunki dyplomatyczne z sąsiadami, sprawy wewnętrzne i wojna, tak z każdym wrogiem zewnętrznym, jak i wewnętrznym, to resort pań domu. Do niej należy także poczta i telegraf, przydozujące wiadomości, co się dzieje w całej kamienicy, dzielnicy, a nawet w mieście całym. Poczta ta, zwana państwową, funkcjonuje nawet sprawniej, niż rządowa. Małżonkowi nałożono finansę, aprowizację i oświetlenie, handel i przemysł, komunikację (gdzie rodzinę wysłać na lato), do służby należą roboty publiczne i opieka społeczna nad całą rodziną. O ile ów gra na fortepianie lub śpiewa, a synowie zaopatrują ściany rysunkami, są też i przedstawicielami kultury i sztuki. Trzeba o zdrowie należało do wszystkich razem i każdego z osobna.

Kto zaś, o szczerpym zakresie budżetu domowego nie może sobie dać rady, ten z pewnością nie sprostałby obowiązkom, jakie ciąży na osobie ministra skarbu. W domu tylko żona woła o pieniądze, a tak nieraz ciężko zadośćuczynić jej żądaniom, ministrowi skarbu nie dają spokoju wszyscy koleży, a jest ich coś około dwunastu, każdy zaś wychodzi z założenia, że kolega od skarbu jest od starania się o pieniądze, a oni od tego, aby je wydawali.

Zatem z teki skarbu nic!

Usadowienie się na fotelu czwartego wiceprezydenta Wielkiego Krakowa, będzie też połączone z pewnymi trudnościami, gdyż kandydat na to stanowisko jest już desygnowany. Jest nim Dr Emil Bobrowski, człowiek znany ze swjej energii, może więc doczekamy się wreszcie poprawy stosunków aprowizacyjnych w naszym mieście. Trzeba bowiem wiedzieć, że kręwanie tej posady stoł w ścisłym związku z aprowizacją miasta, z dnia na dzień przedstawiającą się coraz bardziej opłakanie. Prezydent przebywa przeważnie w Warszawie, dotychczasowi trzej jego zastępcy mają co innego na głowie i nie mogą się zająć tą sprawą. Postanowiono więc, że jedynym ratunkiem może być ustanowienie czwartego wiceprezydentury i oddanie jej w ręce spraw aprowizacji. Osoba przyszłego opiekuna naszych żołądków daje pełną gwarancję, że wybór był tym razem trafny. Podnoszą się wprawdzie głosy, że czterech zastępców burmistrza to nawet na Wielki Kraków za wiele, ale trzeba się z tem pogodzić, jeżeli nie można w inny sposób zaradzić złemu.

Nowy wiceprezydent-aprowizator będzie miał bardzo trudne zadanie do spełnienia, w żadnym bowiem dziale administracji państwowej niema tyle chaosu, co w dziale aprowizacji. Przyczyniają się do tego różnego rodzaju dziwolągi wojenne pod postacią rozmaitych Urzędów wywozu i przywozu, Pułapów, central i t. p. Taki n. p. Urząd wywozu i przywozu, bardzo chętnie wywoziłby z kraju wszystko, nie natomiast nie chce przywieźć, gdy się zaś zdecydował na wydanie pozwolenia w tym kierunku, to zwykle już poniewczasie. Tak było z cukrem z Ukrainy. Miał nam go dostarczyć Petlura, zadłm jednak Warszawa potapała się o co chodzi, już było po ludowej Ukrainie, a bolszewicy stali nad Zornaszem. Albo taki „Pazapp”, czyli „Państwowy urząd zakupna artykułów pierwszej potrzeby”. Jest to nazwa urzędowa, gdy natomiast niektórzy inlecyli te czytają: „Państwowy urząd zmniejszania apetytu przez paskarstwo”.

Dzięki trudnościom, jakich bowiem przysparza przy zaopatrywaniu się w te artykuły, z „pierwszych potrzeb już dawno zmuszeni byliśmy zrezygnować, a „drugie” zaspakajamy u paskarzy, wobec czego każdy ogranicza swe zapotrzebowania do minimum, odmawia sobie wszystkiego, byle tylko jakoś związać koniec z końcem, a sznurak aby nie pękł.

Ile zaś w tych instytucjach dygnitarzy i to bardzo wysokich, ale tylko wzrostem i płcią a nie wykształceniem, ile nieortograficznie piszących maszyn i obsługujących je dilerlatów. Gdyby te zupełnie niepotrzebne instytucje zwinęto, a pieniądze, jakie się na nie wydaje, obrócono na poprawę aprowizacji, byłaby zapewniona na rok cały, co zaś ważniejsze, pozbylibyśmy się niepotrzebnych zupełnie kłopotów, trudności i nieporządku.

Z temi „ustawkami” będzie miał nowy wiceprezydent walkę bardzo trudną, ale może je przebiec w jakiś sposób zwycięży.

A taka n. p. sprawa węglowa!... Aż się płakać chce, gdy się człowiek spojczy na plac, który zdaje się mówić przez otwarte drzwi:

„Tydzień przemija, jak wgnę nie jadem!...”

Niestety!... Mamy jeszcze wiele tygodni, a nie zaskosztuj ich, gdyż te „czerwone diamenty” należą dziś do prawdziwych klejnotów i nie też dlatego, że drobni handlarze węgli starają się o przyzłeczenie ich do cechów złotników i jubilerów, jako że handlują „drogimi kamieniami”.

Mamy własne kopalnie węgli w Jaworznie, mamy nawet Inspektorat węglowy na Małopolskę z siedzibą w Krakowie, ale węgli zaco niema. Raz produkcyja kopalni nie dopisze, to znów brak wagonów na ich przewiezienie, a gdy przypałkiem, co się jednak bardzo rzadko zdarza, jedno i drugie jest w porządku, jakby na zawołanie mamy jakiś strajk, tymczasem sprawa idzie w niepamięć, a potem węgle jadą sobie gdzieś indziej.

Jak Kraków wygląda bez opał i światła, mieliśmy sposobność przekonać się w ubiegły czwartek, gdy do innych plac, jakie nas już nawiedziły, przyłączyła się plaga ciemności. Patrząc na piec bez ognia i lampę elektryczną bez światła, doznawało się zimnych dreszczów i zapadła czarnej melancholii, co, dzięki katastrofie węglowej, może bardzo łatwo przejść w stan chroniczny. Ciepło „codzienny” stał się już „tygodniowym”, po największej części nie dostaje się go wcale, zamiast zaś niego wydają magistrat pęcak lub fasolę, zatem środki wybuchowe, ale, prawdopodobnie ze względu na oszczędność, w ilości, wykluczającej przy ich pomocy popełnienie samobójstwa.

O! głodowej śmierci i zmarnięcia ma nas uratować energiczna ręka nowego wiceprezydenta. Największych sukcesów w tym kierunku życzy mu kronikarz w swym i P. T. Czytelników interesie, nie zazdroszcząc bynajmniej fotela, na którym nie będzie mu z pewnością zbyt wygodnie. Cieszyć się zatem należy, że młoda siła wchodzi do prezydium, rozrusza bowiem starszych kolegów.

Co się tyczy trzeciej posady, to ta jest jeszcze w powietrzu, gdyż nowa instytucja jest dopiero w projekcie, który czeka na zrealizowanie, a różni protegowani czekają na posady, jakie się tam otworzą. Urządowanie nie będzie zbyt trudne, wystarczy kwalifikacyja, że się ma domowe wykształcenie i... protekcję. Tej zaś ostatniej brak kronikarzowi, być więc łatwo może, że i ten zaszczot go ominie. A szkoda, ma już bowiem przygotowaną płomenną odezwę do krów, aby dawały więcej mleka, mniej wody, i do kur, wzywając je do gorliwego patulenia obywatelskich obowiązków pod postacią regularnego znoszenia jaj, po pięć marek sztuka.

Jak się więc zdaje, to owe „lanie” na św. Andrzeja zaszczoty skłócają się pozostać na fotelu redakcyjnym z kronikarskim piórem w ręku.

Nie jest także wyłączone, że święty Mikołaj obdarzy czem pięknym kronikarza, o tem jednak będzie można zabrać głos dopiero w następnym numerze, dziś, nie czas jeszcze na to i staje na przeszkodzie brak miejsca.

Kto zatem ciekaw, co kronikarz dostał, dowie się akurat za tydzień, a okres to krótszy, niż lat dwadzieścia, przeznaczonych na czekanie na wygranie miliona z „premiówki”.

Mógłby wprawdzie każdy, więc i kronikarz, powiedzieć już dziś, co znajdzie pod poduszką rano w dniu 6. grudnia, nie chce przecież uprzedzać wypadków. Jest to zresztą tajemnica domowa, której zdradzać nie wolno. Kronikarz postępuje w tym wypadku jak ów synek malarza, który w szkole, na zapytanie nauczyciela, z czego się robi kizki i kiebasy, rzekł:

— Wiem!... Ale nie powiem, bo tatuś sprawiłby mi lanie!